

HARLAN COBEN

Nie odpuszczaj

Thriller



Daisy miała na sobie obcisłą czarną sukienkę z dekoltem, w którym można było zgłębiać tajniki filozofii.

Mężczyzna w prążkowanym szarym garniturze, którym miała się zająć, siedział przy końcu baru. Hm. Facet mógłby być jej ojcem. Mogło jej to utrudnić zadanie, ale niekoniecznie. Ze starszymi panami nigdy nic nie wiadomo. Niektórzy, zwłaszcza świeżo upieczeni rozwodnicy, bardzo starają się udowodnić, że wciąż mają „to coś”, nawet jeśli nigdy go nie mieli.

Zwłaszcza jeśli nigdy go nie mieli.

Idąc tanecznym krokiem przez salę, czuła, jak spojrzenia mężczyzn pełzną niczym dżdżownice po jej nagich udach. Dotarwszy do końca baru, zakończyła występ, siadając obok niego na stołku.

Facet wpatrywał się w stojącą przed nim szklaneczkę z whiskey niczym Cyganka w kryształową kulę. Daisy czekała, aż odwróci się w jej stronę. Nie zrobił tego. Przez chwilę przyglądała mu się z profilu. Miał gęstą siwą brodę, bul-

wiasty, jakby ulepiony z plasteliny nos i długie, zmierzwione niczym szczotka włosy.

Drugie małżeństwo, domyśliła się Daisy. I najprawdopodobniej drugi rozwód.

Dale Miller – tak się nazywał – delikatnie podniósł szklankę. Trzymał ją w obu dłoniach, jakby była ptakiem z połamanymi skrzydełkami.

– Cześć – powiedziała, w wystudiowany sposób odrzucając włosy do tyłu.

Miller obrócił głowę w jej stronę. Spojrzał jej prosto w oczy. Czekala, aż jego wzrok powędruje w dół – cholera, kiedy miała na sobie tę sukienkę, nie mogły się przed tym powstrzymać nawet kobiety – ale on go nie opuścił.

– Witam – odpowiedział i odwrócił się z powrotem do swojej whiskey.

Daisy czekała na ogół, aż facet zacznie ją podrywać. Taką miała technikę. Mówiła „Cześć” tak jak teraz, uśmiechała się i delikwent z miejsca pytał, czy może jej postawić drinka. Wiadomo, co jest grane. Ale Miller najwyraźniej nie miał ochoty na flirt. Pociągnął jeden, a potem drugi okazały łyk ze szklanki.

Bardzo dobrze. Zalewał robaka. To powinno jej ułatwić zadanie.

– Mogę coś dla pani zrobić? – zapytał.

Gruboskórny, pomyślała. To słowo najlepiej go opisywało. Nawet w prążkowanym garniturze, z niskim schrypniętym głosem miał w sobie coś z opryskliwego, rozbijającego się motorem weterana z Wietnamu. Tacy jak on starsi mężczyźni wydawali się Daisy w dziwaczny sposób seksowni, choć

wynikało to chyba z jej legendarnych problemów z ojcem. Lubiła facetów, przy których czuła się bezpiecznie.

Od dawna już nikogo takiego nie poznała.

Czas spróbować innego podejścia.

– Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli tu chwilę posiedzę? – Przysunęła się do niego trochę bliżej, eksponując biust. – Jest tu pewien facet... – dodała szeptem.

– Naprzykrza się pani?

To było słodkie. Nie powiedział tego jak ktoś zgrywający się na wielkiego macho, jak tylu dupków, których spotkała na swojej drodze. Zapytał o to spokojnie i rzeczowo, nieomal w rycerski sposób – jakby chciał ją obronić.

– Nie, nie... niekoniecznie.

Miller zaczął się rozglądać.

– Który to?

Daisy położyła dłoń na jego ramieniu.

– To naprawdę nic wielkiego. Po prostu... po prostu czuję się tu z panem bezpieczna, rozumie pan?

Znów spojrzał jej w oczy. Bulwiasty nos nie pasował do reszty twarzy, ale przenikliwe błękitne oczy sprawiały, że prawie się go nie dostrzegało.

– Oczywiście – odparł ostrożnym tonem. – Mogę pani postawić drinka?

To było mniej więcej wszystko, czego potrzebowała. Potrafiła rozmawiać z ludźmi, a mężczyźni – żonaci, samotni, rozwodzący się i w ogóle wszyscy – chętnie się przed nią otwierali. Z Millerem zajęło to trochę więcej czasu niż z innymi – jeśli dobrze liczyła, stało się to dopiero przy czwartym drinku – ale w końcu zaczął nawijać o zbliżającym się

rozwodzie z Clarą, osiemnaście lat od niego młodszą żoną, oczywiście drugą („Powinienem się tego spodziewać, prawda? Ależ ze mnie głupiec!”). Później opowiedział jej o dwojce dzieci, Rynie i Simone, walce o prawo do opieki i swojej pracy w finansach.

Ona też musiała się otworzyć. Na tym polegała cała sztuczka. Szczerość powinna być obopólna. Miała na takie okazje gotową historyjkę – oczywiście całkowicie fikcyjną – ale coś w zachowaniu Millera sprawiło, że zaprezentowała ją z większym niż zwykle przekonaniem. Naturalnie nigdy nie powiedziała mu prawdy. Nie znał jej nikt z wyjątkiem Rexa – a i on nie wiedział wszystkiego.

Miller pił whiskey. Ona wódkę. Próbowwała nieco zwolnić tempo. Dwa razy poszła z pełnym kieliszkiem do toalety, wyłała drinka do umywalki i nalała sobie wody. Mimo to kiedy przyszedł w końcu esemes od Rexa, była na lekkim rauszu.

G?

„G” jak gotowa.

– Wszystko w porządku? – zapytał Miller.

– Jasne. To od przyjaciółki.

Odpowiedziała *T*, na tak, i ponownie zajęła się swoim celem. W tym momencie proponowała na ogół, by poszukiwali jakiegoś spokojniejszego miejsca. Większość mężczyzn chciała natychmiast skorzystać z okazji – faceci są pod tym względem całkowicie przewidywalni – nie była jednak pewna, czy taka bezpośrednia zagrywka sprawdzi się w przypadku Millera. Nie chodziło o to, że nie wydawał się zainteresowany. Robił po prostu wrażenie... nie wiedziała, jak to ująć... kogoś, kto jest ponad to.

– Mogę pana o coś zapytać? – zaczęła.

Uśmiechnął się.

– Przez cały wieczór pyta mnie pani o różne rzeczy.

Płatał mu się lekko język. To dobrze.

– Ma pan samochód?

– Mam. Dlaczego pani pyta?

Daisy rozejrzała się po barze.

– Czy mogłabym... ee... poprosić, żeby odwiózł mnie pan do domu? Mieszkam niedaleko.

– Jasne, żaden problem – odparł Miller. – Być może będę musiał najpierw trochę wytrzeźwieć – dodał po chwili.

Zeskoczyła z barowego stołka.

– W porządku. W takim razie pójde piechotą.

Miller się wyprostował.

– Chwileczkę, co się stało?

– Muszę zaraz wracać do domu, ale jeśli nie może pan prowadzić...

– Nie, dlaczego? – Zsunął się ze stołka i wcale się przy tym nie zachwiał. – Zaraz panią odwiozę.

– Jeżeli to jakiś kłopot...

– Żaden kłopot, Daisy.

Bingo! Kiedy ruszyli w stronę drzwi, wysłała szybko wiadomość Rexowi:

JWD.

Jesteśmy w drodze.

Ktoś mógłby to nazwać szwindlem albo oszustwem, lecz Rex upierał się, że zarabiają pieniądze w uczciwy sposób. Daisy nie była tego taka pewna, ale sama też nie miała większych wyrzutów sumienia. Bez względu na to, jakie przy-

świecały im motywy, plan był prosty w realizacji. Mąż i żona się rozwodzą. Walka o prawa do opieki nad dziećmi staje się coraz bardziej bezpardonowa. Obie strony są w desperacji. Żona – formalnie rzecz biorąc, z ich usług mógł też skorzystać mąż, ale do tej pory były to zawsze żony – wynajmuje Rexa, by pomógł jej wygrać tę potyczkę. Jak?

Doprowadzając do aresztowania męża za prowadzenie po pijanemu.

Czy jest lepszy sposób na udowodnienie, że ktoś nie nadał się na rodzica?

I tak to funkcjonowało. Daisy miała dwa zadania: zadbać, by delikwent miał we krwi dość promili, a potem żeby siadł za kółkiem. Rex, który był gliniarzem, zatrzymywał ich, zgarniał faceta za jazdę pod wpływem i ich klientka zyskiwała wielką przewagę w sądowej batalii.

W tym momencie Rex siedział już w radiowozie dwie przecznice dalej. Zawsze znajdował jakieś ustronne miejsce blisko baru, w którym ich cel zalewał wieczorem robaka. Im mniej świadków, tym lepiej. Nie chcieli, żeby ktoś zaczął zadawać pytania.

Chodziło o to, żeby zatrzymać faceta, aresztować go i zostawić sprawy swojemu biegowi.

Daisy i Miller wytoczyli się z baru na parking.

– Tędy – powiedział Miller. – Zaparkowałem z tamtej strony.

Prowadząc Daisy do szarej toyoty corolli przez wysypany żwirem parking, kopał przed sobą drobne kamyki. Wcisnął przycisk na kluczyku i samochód odpowiedział podwójnym miauknięciem. Kiedy Miller ruszył w stronę drzwi pasażera,

Daisy zatrzymała się zaskoczona. Czyżby chciał, żeby to ona siadła za kierownicą? Boże, miała nadzieję, że nie. Czy upił się bardziej, niż sądziła? To wydawało się bardziej prawdopodobne. Nagle uświadomiła sobie, że oba jej domysły są błędne.

Dale Miller otwierał przed nią drzwi. Jak prawdziwy dżentelmen. To świadczyło, od jak dawna nie miała do czynienia z prawdziwym dżentelmenem. Nie domyśliła się w ogóle, o co mu chodzi.

Przytrzymał drzwi, a ona wślizgnęła się do samochodu. Zaczekał, aż dobrze się usadowi, i dopiero wtedy ostrożnie je zamknął.

Poczuła ukłucie winy.

Rex tłumaczył jej wiele razy, że nie robią nic nielegalnego ani etycznie wątpliwego. Po pierwsze, plan nie zawsze udawało się zrealizować. Niektórzy faceci nie przesiadywali po prostu w barach. „Jeśli tak wygląda sprawa – mówił Rex – nie możemy mu nic zrobić. Ale ci, których udaje nam się przyskrzynić, i tak już wcześniej popijali, prawda? Ty ich po prostu delikatnie zachęcasz, to wszystko. Nie muszą przecież siadać za kółkiem. To w końcu ich wybór. Nie przykładasz im lufy do skroni”.

Daisy zapięła pasy. Dale Miller zrobił to samo, po czym uruchomił silnik i wrzucił tylny bieg. Opony zachrzęściły na zwirze. Miller wykręcił, zatrzymał samochód i przez dłuższy moment przyglądał się Daisy. Próbowwała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej się to udało.

– Coś przede mną ukrywasz, prawda, Daisy? – zapytał.

Przeszedł ją dreszcz, lecz nic nie odpowiedziała.

– Przydarzyło ci się coś złego. Widzę to po twojej twarzy. Nie wiedząc, jak ma zareagować, roześmiała się bez przekonania.

– Przecież opowiedziałam ci już historię mojego życia, Dale.

Odczekał jeszcze kilka sekund, choć wydawało jej się to godziną. W końcu wbił wzrok w przednią szybę i wrzucił bieg. Wyjeżdżając z parkingu, nie powiedział już ani słowa.

– Skręć w lewo – poprosiła i usłyszała napięcie we własnym głosie. – A potem w drugą w prawo.

Dale Miller nie odzywał się, kręcąc ostrożnie kierownicą, tak jak kierowcy, którzy są pod wpływem alkoholu, ale nie chcą ściągać na siebie uwagi. Corolla była czysta i bezosobowa. Pachniało w niej trochę zbyt mocno dezodorantem. Kiedy Miller skręcił w prawo, Daisy wstrzymała oddech i czekała na niebieskie światła i syrenę Rexa.

To był dla niej zawsze trudny moment. Nie wiedziała, jak zareaguje delikwent. Jeden z nich próbował uciekać, ale już po chwili zdał sobie sprawę, że nie ma szans. Niektórzy zaczęli przeklinać. Inni – tych było bardzo wielu – wybuchali płaczem. To było najgorsze. Dorośli faceci, którzy jeszcze przed chwilą ostro do niej uderzali, niektórzy z ręką wciąż pod jej sukienką, zanosili się szlochem jak dzieci.

Natychmiast zdawali sobie sprawę z konsekwencji. I to ich dobijało.

Nie wiedziała, czego może się spodziewać po Millerze.

Rex zawsze perfekcyjnie wybierał właściwy moment i jak na zawołanie pojawiło się za nimi obracające się błękitne światło i zaraz potem zawyła syrena radiowozu. Daisy zer-

knęła na Millera, żeby zorientować się, jak zareagował. Jeśli był zdenerwowany albo zaskoczony, nie dawał tego po sobie poznać. Robił wrażenie spokojnego i zdeterminowanego, jakby zupełnie nie wyträciło go to z równowagi. Włączył kierunkowskaz i ostrożnie podjechał do krawężnika. Rex zatrzymał się tuż za nim.

Syrena umilkła, ale błękitne światło wciąż się obracało.

Dale Miller przestawił bieg na parkowanie i spojrzał na Daisy. Nie była pewna, co widzi na jego twarzy. Zaskoczenie? Współczucie? Bezradność w stylu „Cóż poradzić?”.

– No, no – powiedział. – Wygląda na to, że dopadła nas przeszłość, prawda?

Jego słowa, ton i wyraz twarzy doprowadzały ją do białej gorączki. Miała ochotę wrzasnąć na Rexa, żeby to szybko skończył, ale on, jak to gliniarz, wcale się nie spieszył. Dale Miller nadal się w nią wpatrywał, nawet kiedy Rex zastukał kłykciami palców w szybę. Wtedy powoli się odwrócił i ją opuścił.

– O co chodzi, panie władzo?

– Poproszę prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Miller podał mu dokumenty.

– Pił pan dzisiaj, panie Miller?

– Może jednego.

Odpowiadając w ten sposób, upodobił się w końcu do innych. Zawsze kłamali.

– Czy mógłby pan na chwilę wysiąść z samochodu?

Znowu spojrzał na Daisy. Próbowwała nie skurczyć się pod jego wzrokiem. Patrzyła prosto przed siebie, unikając kontaktu wzrokowego.

– Panie Miller? Prosiłem, żeby...

– Oczywiście, panie władzo.

Dale Miller pociągnął za klamkę. Kiedy zapaliła się wewnętrzna lampka, Daisy zamknęła na chwilę oczy. Miller wytarabanił się z samochodu. Zostawił otwarte drzwi, lecz Rex sięgnął za jego ramieniem i je zatrzasnął. Szyba była nadal uchylona i Daisy słyszała, co mówią.

– Chciałbym, żeby wykonał pan kilka czynności, które wykazałyby, że jest pan trzeźwy.

– Możemy to sobie darować – powiedział Dale Miller.

– Słucham?

– Może przejdziemy od razu do badania alkomatem. To powinno nam ułatwić sprawę.

Ta propozycja zaskoczyła Rexa. Zerknął do środka samochodu. Daisy wzruszyła lekko ramionami.

– Rozumiem, że ma pan alkomat w radiowozie? – zapytał Miller.

– Owszem, mam.

– Więc nie marnujemy dłużej czasu: mojego, pańskiego i tej uroczej damy.

Rex zawahał się.

– W porządku, proszę tu poczekać – odparł.

– Oczywiście.

Kiedy ruszył do radiowozu, Dale Miller wyjął pistolet i strzelił mu dwa razy w głowę. Rex osunął się na ziemię.

I wtedy Dale Miller wycelował w Daisy.

Wrócili, pomyślała.

Po wszystkich tych latach udało im się mnie odnaleźć.

Rozdział 1

Chowam kij baseballowy za nogą, żeby Trey – zakładam, że to Trey – przypadkiem go nie zobaczył.

Domniemany Trey podchodzi do mnie ze swoją opalenizną z solarium, filuterną grzywką i bezsensownymi plemiennymi tatuażami oplatającymi nabrzmiałe bicepsy. Ellie opisała go jako „kretyna czystej wody”. Facet pasuje do opisu.

Mimo to muszę mieć pewność.

Przez lata rozwinąłem naprawdę genialną technikę rozpoznawania, czy mam do czynienia z właściwym facetem. Patrz i ucz się:

– Trey?

Koniobjca zatrzymuje się i posyła mi najmroczniejsze, na jakie go stać, spojrzenie człowieka z Cro-Magnon.

– Kto chce wiedzieć? – pyta.

– Czy mam odpowiedzieć „ja”?

– Że co?

Wzdycham. Widzisz, z jakimi debilami mam do czynienia, Leo?

– Spytałeś „Kto chce wiedzieć?” – tłumaczę. – Tak jakbyś był bardzo przebiegły. Tak jakbyś nie odpowiedział „Pomyliłeś mnie z kimś innym, stary”, gdybym zawołał do ciebie „Mike”. Pytając „Kto chce wiedzieć?”, dajesz do zrozumienia, że masz na imię Trey.

Powienesz zobaczyć osłupienie na twarzy tego faceta.

Daję krok do przodu, nadal chowając za sobą kij.

Trey udaje wielkiego gangstera, ale czuję emanujące z niego gorące fale strachu. Trudno mu się dziwić. Jestem facetem o odpowiedniej posturze, a nie drobną kobietką, której można przetrzepać skórę, żeby poprawić sobie samopoczucie.

– Czego chcesz? – pyta.

Podchodzę do niego bliżej.

– Pogadać.

– O czym?

Uderzam z jednej ręki, bo tak jest najszybciej. Kij łąduje niczym bicz na jego kolanie. Trey wrzeszczy, ale nie pada. Teraz ujmuję kij oburącz. Pamiętasz, jak trener Jauss uczył nas uderzać piłkę w Małej Lidze? Kij do tyłu, łokieć do góry. To była jego mantra. Ile mieliśmy wtedy lat? Dziewięć, dziesięć? Nieważne. Robię dokładnie tak, jak nas uczył trener. Odchylam kij do tyłu, podnoszę łokieć i biorąc zamach, daję krok do przodu.

Koniec drewnianego kija łąduje na tym samym kolanie.

Trey pada, jakbym go postrzelił.

– Proszę...

Tym razem podnoszę kij wysoko nad głowę, jakbym rąbał drewno, i wkładając w to uderzenie całą siłę i rozpęd, ponow-

nie celuję w to samo kolano. Czuję, jak coś w nim pęka. Trey wyje z bólu. Podnoszę kij po raz drugi. W tym momencie Trey obejmuje kolano dłońmi, próbując je chronić. Nie szkodzi. Muszę przecież mieć pewność, tak? Celuję w kostkę. Słysząc chrzęst podobny do tego, jaki wydają suche gałązki, kiedy się na nie nadepnie.

– Nie wiesz, jak wyglądam – ostrzegam go. – Piśnij choć słowo, to wrócę i cię zabiję.

Nie czekam na odpowiedź.

Pamiętasz, Leo, jak tato zabrał nas po raz pierwszy na mecz Major League? Siedzieliśmy w łoży naprzeciwko trzeciej bazy i przez cały czas mieliśmy na dłoniach nasze rękawice baseballowe, w nadziei że piłka poleci w naszą stronę. Oczywiście nie poleciała. Pamiętam, jak tato wystawiał do słońca twarz w ciemnych okularach i jak uśmiechał się leniwie. Był z niego niezły luzak. Jako Francuz nie znał reguł gry – dla niego to również był pierwszy mecz baseballu – ale specjalnie się tym nie przejmował, prawda? To był dzień, który spędzał ze swoimi bliźniakami.

To mu zawsze wystarczało.

Trzy przecznice dalej wyrzucam kij do stojącego przy 7-Eleven kontenera na śmieci. Wcześniej włożyłem rękawiczki, więc nie będzie żadnych odcisków palców. Kij kupiłem przed kilku laty na wyprzedaży garażowej niedaleko Atlantic City. Nie ma mowy, żeby go ze mną powiązali. Nie żebym się tym przejmował. Gliniarze nie będą przetrząsali kontenerów, nurkując między galaretkami wiśniowymi, żeby pomóc dupkowi żółędnemu w rodzaju Treya. W telewizji być może tak robią. W realu dojdą do wniosku, że chodzi-

ło o długi hazardowe, nieudaną transakcję narkotykową lub inne machlojki, które wymagały surowego potraktowania delikwenta.

Przecinam parking i wracam okrężną drogą do miejsca, w którym zostawiłem samochód. Mam spuszczoną głowę i nasuniętą nisko na czoło czarną czapkę Brooklyn Nets w bardzo ulicznym stylu. Jak już wspomniałem, nie spodziewam się, by ktoś potraktował poważnie cały incydent, ale zawsze można trafić na jakiegoś nadgorliwego żółtodzioba, który sprawdzi taśmy monitoringu.

Ostrożność nigdy nie zawadzi.

Wsiadam do samochodu, wjeżdżam na międzystanową dwieścieosiemdziesiątkę i wracam prosto do Westbridge. Dzwoni komórka – telefonuje Ellie. Zupełnie jakby wiedziała, czym się zajmuję w wolnych chwilach. Pani Wyrzut Sumienia. Nie odbieram telefonu.

Westbridge jest jedną z tych wymarzonych amerykańskich miejscowości, które media nazywają „przyjaznymi dla rodziny”, czasami „zamożnymi”, a nawet „komfortowymi”, lecz nigdy nie „ekskluzywnymi”. Mamy tu urządzone przez Klub Rotariański grille, parady z okazji Czwartego Lipca, karnawały Klubu Kiwanis i sobotnie targi zdrowej żywności. Dzieciaki wciąż jeżdżą do szkoły rowerami. Na meczach szkolnej drużyny futbolowej pojawia się masa ludzi, zwłaszcza kiedy gramy z naszym lokalnym rywalem, Livingston. Ludzie w dalszym ciągu pasjonują się Małą Ligą. Trener Jauss zmarł kilka lat temu, ale nazwali jego imieniem jedno z boisk.

Nadal często pod nie podjeżdżam, choć obecnie siedzę za kierownicą radiowozu. Owszem, jestem jednym z „takich” gliniarzy. Myślę o tobie, Leo, o tym, jak utknąłeś na prawym skrzydle. Nie miałeś ochoty grać – teraz to wiem – ale wiedziałeś, że bez ciebie mogą nie wstąpić do drużyny. Starzy kibice do dziś wspominają półfinałowy mecz o mistrzostwo stanu, w którym jako miotacz ani razu nie pozwoliłem zdobyć bazy przeciwnikom. Nie byłeś dość dobry, by dostać się do drużyny, więc władze Małej Ligi zgodziły się przyjąć cię jako statystyka. Przypuszczam, że chcieli zrobić mi przyjemność. Nie sądzę, żebym zdawał sobie wtedy z tego sprawę.

Byłeś zawsze mądrzejszy i bardziej dojrzały, więc ty prawdopodobnie od początku wiedziałeś, co jest grane.

Podjeżdżam pod dom i parkuję na podjeździe. Moi sąsiedzi, Tammy i Ned Walshowie – w myślach nazywam go Nedom Flandersem*, bo ma bujne wąsy i wylewny styl bycia – czyszczą swoje rynny. Oboje machają mi na powitanie.

– Cześć, Nap! – woła Ned.

– Cześć, Ned! – odpowiadam. – Witaj, Tammy!

Taki jestem sympatyczny. Pan Sąsiad Idealny. Musicie wiedzieć, że na tym rodzinnym podmiejskim osiedlu jestem najrzadszym z okazów – heteroseksualnego, samotnego, bezdzietnego mężczyznę można tu spotkać mniej więcej tak samo często jak nałogowego palacza w klubie fitness – dlatego staram się, jak mogę, uchodzić za normalnego, nudnego, solidnego obywatela.

*Ned Flanders – postać z serialu *Simpsonowie*.

Kogoś niegroźnego.

Tato zmarł przed pięciu laty i domyślałam się, że niektórzy sąsiedzi widzą we mnie tego straszego singla, faceta, który wciąż mieszka w domu rodziców i przemyka chyłkiem ulicami niczym „Boo” Radley z *Zabić drozda*. Dlatego staram się, żeby dom był zadbany. Dlatego przywożę tu poznane przelotnie dziewczyny jeszcze za dnia, nawet kiedy widzę, że nasza znajomość nie potrwa długo.

Był okres, kiedy faceta takiego jak ja brano za uroczonego ekscentryka, zadeklarowanego kawalera. Teraz obawiam się, że sąsiedzi uważają mnie za pedofila albo kogoś jeszcze gorszego. I robię, co mogę, by rozproszyć te obawy.

Poza tym większość sąsiadów zna naszą historię, więc to, że nadal tu mieszkam, wydaje się logiczne.

W dalszym ciągu macham do Neda i Tammy.

– Jak idzie drużynie Brody’ego? – pytam.

Gównu mnie to obchodzi, ale trzeba dbać o pozory.

– Wygrali osiem do jednego – informuje mnie Tammy.

– Niesamowite.

– Musisz przyjść na mecz w przyszłą środę.

– Marzę o tym – odpowiadam.

Marzę również, żeby usunęli mi nerkę łyżeczką do grejpfrutów.

Uśmiecham się jeszcze przez chwilę, macham do nich jak idiota, po czym wchodzę do domu. Wyniosłem się z naszej dawnej sypialni, Leo. Po tamtej nocy – to, co się stało, jest dla mnie nadal „tamtą nocą”, bo nie godzę się na określenia w rodzaju „podwójne samobójstwo”, „śmierć w wypadku”

ani nawet, choć wszyscy raczej to wykluczali, „podwójne morderstwo” – nie mogłem znieść widoku naszego piętrowego łóżka. Przeniosłem się wtedy na dół, do pokoju, który nazywaliśmy „małym gabinetem”. Któryś z nas powinien to chyba zrobić już lata wcześniej, Leo. Nasza sypialnia mogła wydawać się odpowiednia dla dwóch chłopców, ale była chyba zbyt ciasna dla dwóch dojrzewających mężczyzn.

Mnie jednak nigdy to nie przeszkadzało. Tobie chyba też.

Po śmierci taty przeniosłem się na górę, do małżeńskiej sypialni. Ellie pomogła mi przerobić nasz dawny pokój na domowe biuro w stylu, jak to nazywa, „nowoczesnej miejskiej farmy”. Nadal nie wiem, co to może znaczyć.

Idąc na piętro, do sypialni, i ściągając koszulę, słyszę nagle dzwonek do drzwi. Przypuszczam, że to kurier z UPS albo FedExu. Tylko oni składają wizytę bez wcześniejszego telefonu. W związku z tym nie fatyguję się na dół. Kiedy dzwonek odzywa się ponownie, zaczynam się zastanawiać, czy nie zamówiłem czegoś, co wymaga podpisu. Nic nie przychodzi mi do głowy. Wyglądam przez okno sypialni.

To gliniarze.

Są po cywilnemu, ale zawsze ich poznaję. Nie wiem, czy chodzi o ubiór, posturę czy coś bardziej nieokreślonego, ale nie sądzę, żeby ta moja umiejętność wynikała z faktu, że sam nim jestem – z jakiegoś rodzaju powinowactwa. To facet i kobieta. Przez sekundę myślę, że ich wizyta ma jakiś związek z Treyem – to chyba logiczne, nie? – ale kiedy zerkam na ich nieoznakowany policyjny samochód, który jest w tak jawny sposób nieoznakowanym policyjnym samochodem,

że równie dobrze mógłby mieć z boku namalowany sprejem napis NIEOZNAKOWANY POLICYJNY SAMOCHÓD, widzę rejestrację z Pensylwanii.

Wkładam szybko szary dres i zerkam w lustro. Jedynym słowem, które oddaje to, co widzę, jest „szykowny”. To znaczy, może to niejedyne słowo, ale zostańmy przy nim. Zbiegam po schodach i naciskam klamkę.

Nie mam pojęcia, co mnie czeka, kiedy je otworzę.

Nie mam pojęcia, Leo, że doprowadzi mnie to do ciebie.